
JOANNA
OLECH

TARANTULA,
KLOPS
I HERKULES



Joanna Olech
Tarantula, Klops i Herkules

© by Joanna Olech
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Łukasz Piskorek / Fajne Chłopaki

Korekta i skład:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-569-7

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwoliteratura.pl

*Opisane tu przygody i osoby są fikcją literacką.
Owszem, były inspirowane autentycznymi
wydarzeniami, ale daleko im do dokumentu. A zatem
– ostrożnie! Nie dowierzajcie tej książce za bardzo.*

Mojej siostrze Ani
i całej rodzinno-przyjacielskiej kooperatywie,
która pomagała mi pisać



I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KAROL KLOPS
POZNAJE TARANTULĘ

Ciotka Wisia, niegdyś witkowicka piękność, zebrała poły różowego sweterka na wydatnym biuście. Wprawnym ruchem pociągnęła wargi perłową szminką i kokieteryjnie uśmiechnęła się do lusterka. Pomimo że przekroczyła już czterdziestkę, nadal gustowała w pastelowych kolorach i przesadnym makijażu, co złośliwe sąsiadki kwitowały jadowitym epitetem „dzidzia-piernik”.

Ciotka Wisia potrząsnęła tlenionymi lokami i krytycznym wzrokiem zmierzyła krzątającego się po kuchni siostrzeńca: słabe toto, chuchrowate, blade jak maślanka... Od razu widać, że nietutejszy. Belcia w tym wieku była rumiana i krzepka. Cholewki kaloszy trzeba było obcinać, bo łydki jej się nie mieściły. A ten... Prawdziwy szkielet. Cud, że nie klekocze.

Rzeczywiście – ubranie wisiało na Karolu jak na gwoździu, a wydatne uszy nadawały mu groteskowy wygląd.

Ciocia Wisia ubolewała, że Karol nie nadąża za trendami: schludny dzieciak, owszem, ale niepodobny do innych. Żar się z nieba leje, a on ubrany jak ministrant – zapięty pod szyję i taki jakiś... stary malutki, jak to mówią. A przecież Ola żywa jak iskra, skąd jej się taki cudak przytrafił? Podobno z komputerem częściej gada niż z rówieśnikami.

Tu ciotka rozrzewniła się na wspomnienie siostry, która powierzyła Karola jej opiece. Gdyby nie zagraniczne stypendium, Ola nieprędko przysłałaby jedynaka do Witkowic. Zawsze jej było nie po drodze do rodzinnego domu. Ale teraz... nie miała wyboru.

Karol, przepasany kwiecistym fartuchem ciotki, skończył zmywać naczynia i starannie ustawiał je w szafkach.

– Kubki z piekiem do kredensu? – upewnił się.

Ciotka mechanicznie skinęła głową. Zrobiło się późno. Pora do sklepu.

– Belciaaaa! – krzyknęła w głąb mieszkania.

Na progu kuchni stanęła ładna, pucułowata siedemnastolatka.

Karol podniósł wzrok znad zlewu i mimowolnie zagapił się na intrygujące krągłości kuzynki, obleczone kusą sukienką. Dziewczyna miarowo żuła gumę, co nadawało jej wygląd arogancki i gapowaty zarazem.

Ciotka energicznym kopnięciem posłała do kąta domowe kapcie. Założyła pantofle na obcasie i sięgnęła po torebkę.

– Zajmiesz się Karolkiem, dobrze? – zapytała córkę bez przekonania. – Posiedzicie sobie w ogródku, pogawędzicie...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, łypnęła groźnie na Bellę spod usztywnionej lakierem grzywki. Ledwie zauważalny ruch głowy córki przyjęła za dobrą monetę.

– Dzisiaj siedzę w sklepie do siódmej, mamy deratyzację. Pomidorowa w lodówce – rzuciła.

I już jej nie było.

Kiedy drzwi za ciotką zamknęły się, w kuchni zapadła krępująca cisza. Obecność kuzynki onieśmielała Karola. Żeby ukryć zakłopotanie, wetknął głowę do kuchennej szafki i zaczął trzaskać talerzami.

Bella z rozmachem klapnęła na stołku. Wyjęła z ust gumę i przylepiła ją do doniczki z kaktusem.

– Tylko sobie nie wyobrażaj, młody, że będę tu z tobą kiblować całe lato! – warknęła z tłumioną złością. – Mam, kurde, lepsze rzeczy do roboty, niż niańczyć jakiegoś emo!

Karol chciał zaprotestować, ale zdołał z siebie wydać jedynie dziwny pisk. Tak go to zawstydziło, że ponownie zanurkował głową do szafki.

– Proponuję ci układ – ciągnęła Bella. – Każde z nas zajmie się sobą. Przed mamą będziemy zgodnie ściemniać, żeśmy grzecznie

grali w pchełki. Ona kupi każdy kit. Jest łatwowierna jak dziecko...
– skrzywiła się z pobłażaniem. – Chodzisz, gdzie chcesz, robisz, co chcesz. A na godzinę przed powrotem matki z pracy spotykamy się w domu i ustalamy wspólną wersję wydarzeń. Kumaszc?

– Yyy... To niezgodne z moimi standardami etycznymi, jak mniemam – pisnął rudzielec.

– Że CO...!? – Bella popatrzyła na kuzyna z niedowierzaniem.

– Obawiam się, że ja... ja nie jestem w tym dobry – wykrztusił Karol, zaczerwieniony po korzonki włosów.

– W czym? W ściemnianiu?

– Mhmmm...

Bella lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Dasz radę. Wystarczy, że nie będziesz zbyt rozmowny. Aha! I gdziekolwiek się wybierasz, omijaj rynek. Żeby cię matka ze sklepu nie zobaczyła.

Szybko nabazgrała coś na papierowej serwetce.

– Tu masz mój numer komórki. W razie kłopotów – dzwoń.

Rzuciła karteluszek na stół i zniknęła za drzwiami.

Karol westchnął ciężko. Nie tak to sobie wyobrażał. Czekają go dwa miesiące samotnych wakacji w miasteczku, gdzie nie ma nawet kina.

Upał narastał. Pelargonie na klombie w rynku poszarzały pod warstwą kurzu. Nawet psom nie chciało się obszcze kiwać przejeżdżających samochodów.

Na Tuli skwar nie robił wrażenia. Od rana tkwiła w „piekarniku” i przez silną lunetę lustrowała miasteczko. Ten i ów przechodzień poczuł na twarzy kleks świetlnego zajączka.

Dziewczyna widziała sąsiada, kierowcę TIR-a, który służbowym paliwem poił swojego fiata. Widziała panią Wróblową, zmierzającą na plotki do probostwa. I listonosza na rowerze z klekoczącym błotnikiem. Widziała nawet kopczyk kreta, rosnący gwałtownie pośrodku wypielegnowanego trawnika dentysty po przeciwnej stronie ulicy.

„Piekarnikiem” Tula nazywała swój okrągły pokój na szczycie dziwacznej willi wujostwa. Wuj Marian Kądziała, burmistrz Witkowic, za młodu interesował się astronomią. Budując dom, postanowił zrealizować marzenie z dzieciństwa i dokleił do niego obserwatorium astronomiczne – wieżyczkę opasaną balkonem i zwieńczoną hełmem. Powstało coś na kształt domku Muminków.

Latami Witkowice bezlitośnie nabijały się ze swojego burmistrza i jego dzieła. W końcu ludzie przywykli do widoku dziwacznej budowli i kpiny ustały.

W „piekarniku” panował nieznośny upał, ale Tula lubiła to miejsce. Wuj Marian już dawno zarzucił obserwację gwiazd. Niechętnie dźwigał swoją pokaźną nadwagę po stromych schodach i niemal nigdy tu nie zaglądał, toteż siostrzenica miała całe poddasze dla siebie.

Przez małe, okrągłe okna wpadały ukośnie snopy światła. Podłoga usłana była papierami, wokół wałały się spraye i szablony. Ścianę zdobił plakat Emily the Strange.

Na pierwszy rzut oka było jasne, że Tula i ponura Emily to bratnie dusze – ta sama niewzruszona powaga, te same czarne ciuchy, smołista grzywka i oczy obwiedzione czarną kredką. Ale w przeciwieństwie do Emily, Tula była wysoka – tuż po dwunastych urodzinach przerosła własną mamę, a teraz – trzy lata później – miała już prawie metr osiemdziesiąt. W workowatych spodniach i wielkich, czarnych martensach przypominała komandosa. W brwiach i w uszach tkwiły srebrne kolczyki. Zgięta w paragraf, garbiła swoje długie, silne ciało nad okularem lunety. Co chwila zmieniała skalę przybliżenia: osiemdziesiąt razy, sto razy, dwieście razy...

Właśnie obrała za cel obserwacji Tomasza Burasia – młodego policjanta z witkowskiego posterunku. Przez precyzyjne soczewki można było dostrzec nawet pojedyncze włoski mizernych wąsików tego lokalnego stróża prawa, który patrolował uliczki wokół rynku.

Policjant raz po raz przystawał przy płotach i wdawał się w pogawędki z sąsiadami, wachlując spocone oblicze służbową czapką. Ze szczególnym upodobaniem wracał ciągle pod dom organisty, gdzie mieszkała ładna i nieśmiała Tereska Kulikówna. Jej drobna sylwetka i regularne rysy mogły się podobać...

– Jeśli ktoś lubi takie wypłowiałe, przezroczyście lale bez wyrazu – dodałaby zapewne Emily the Strange.

Pyk... Tula zmieniła nagle kąt lunety i w polu widzenia znalazło się czyjeś ucho. Duże i jaskraworóżowe, bo prześwietlone słońcem. Do kogo należy?

Dziewczyna wyostrzyła obraz i zobaczyła posiadacza ucha w całej okazałości.

Hmmm...

Tula przysięgłaby, że zna wszystkich mieszkańców miasteczka, ale tego chłopaka widziała po raz pierwszy. Patykowata sylwetka, twarz nietknięta opalenizną...

No tak, jasne.

Przyjezdny.

Dwunastoletni Karol maszerował w dół uliczki w kierunku mostu. Wysoko podnosił kościste kolana i zamasyście machał długimi rękoma, przez co wyglądał jak nakręcany żołnierz. Piegowatą twarz wieńczyła strzecha rudawych włosów, które nie dawały się pokroić grzebieniem i sterczały na wszystkie strony. Tula dostrzegła niemodne spodnie podciągnięte niemal pod pachy i białą popelinową koszulę z długimi rękawami, zapiętą na wszystkie guziki. Oszacowa-

ła brązowe, wypastowane półbuty, których nie powstydziliby się wuj Marian, i reklamówkę z Biedronki w ręku chłopca.

– Ofiara losu – mruknęła Tula i całkowicie straciła dla niego zainteresowanie.

Już po chwili wróciła do obserwacji młodego policjanta zalecającego się przez płot do córki organisty.

Posterunkowy Tomasz Buraś napełnił służbową czapkę jabłkami. Właśnie zamierzał wylewnie podziękować za nie Teresce, gdy jego komórka rozdzwoniła się hałaśliwie. Niezdarnie wyłuskał telefon z kieszeni munduru i przez chwilę słuchał gniewnych poleceń szefa.

– Tak jest! Zaraz będę – odpowiedział krótko i odruchowo zsalutował służbiście do „pustej” głowy.

Tereska zachichotała nerwowo i czmychnęła do domu. Policjant z żalem odprowadził ją wzrokiem. Westchnął i z czapką pełną jabłek w objęciach ruszył w stronę rynku.

Włamanie? Do Muzeum Regionalnego? Nie do wiary. – Kręcił głową z powątpiewaniem. A cóż to takiego mogło paść łupem złodziei? Zetlały serdak? Stuletnie grabie? Kołowrotek babci Wróblowej?... Posterunkowy Buraś nie miał wysokiego mniemania o tutejszych zbiorach.

Od muzeum dzieliły go zaledwie trzy przecznice, toteż nie minął kwadrans, kiedy już stał przed obliczem szefa.

Na widok służbowego nakrycia głowy napełnionego owocami czerwona zwykle twarz sierżanta Wyrwiłły poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Buraś! – ryknął. – Jaja sobie robicie? Zabierajcie się stąd z tym ogrodnictwem!

Stojąca obok sprzątaczką muzeum – panna Violeta – aż się zachęła na takie grubiaństwo. Zza grubych soczewek okularów, w których wyglądała jak zdziwiony lemur, spojrzała na sierżanta z wyrzutem.

Posterunkowy Buraś zmieszał się i czym prędzej opróżnił czapkę do usłudze podsuniętego przez Violetę fartucha.

– Papierówki... – wymamrotał tytułem usprawiedliwienia – w supermarkecie takich się nie kupi.

W odpowiedzi szef warknął tylko ostrzegawczo i rzucił przez ramię:

– Mamy włamanie. – I dodał: – Dziwne włamanie... Ćpun albo świr, bo strat nie widać.

Wyrwiłło władczy gestem wskazał kierunek i młody policjant podążył za nim w stronę drzwi na tyłach muzeum. Zwykle zaryglowane i zasłonięte kotarą, teraz były otwarte na oścież. Prowadziły na niewielkie, wybrukowane podwórko.

Stał tu kontener na śmieci, a obok plastikowa miska z resztką kocięj karmy. Podwórko z dwóch stron ograniczały ściany sąsiednich posesji, a z trzeciej – wysoki, wyszczerbiony mur, za którym rozciągały się sady. Zardzewiała furтка w murze była zamknięta na kłódkę i nietknięta.

– Panna Violeta zgłosiła włamanie – oznajmił sierżant. – Przed godziną.

Sprzątaczką przytaknęła.

– Tych drzwi poza mną nikt nie używa. Kierowniczką frontem wchodzi i frontem wychodzi. A i ja nieprędko pewnie bym odkryła, że tu złodziej był, gdyby nie Reksio.

– Reksio? – sierżant uniósł brwi.

– Aha – przytaknęła młoda kobieta. – Kot, znajda. Dokarmiam go na podwórku. Nie wpuszczam do środka, rzecz jasna... Kierowniczką nie pozwala. Ale dzisiaj przychodzę, patrzę... Reksio w środku.

Siedzi i pazurki sobie ostrzy o tę maselnicę. – Panna Violeta wskazała zabytkowy eksponat w kącie. – Jakaś tu wlaź – pytam – Reksiu? A on – myk! – i już za kotarą. Widzę, drzwi uchylone, rygiel wyłamany. Złodzieje, myślę sobie. Widzicie, panowie, szkody narobili. Tego tu u nas nigdy nie było, jak żyję. Do apteki, owszem. Dwa lata temu. Narkomani czy kto to tam... bywało... Ale żeby do muzeum?!

– I mówi pani, że nic nie zginęło?

– Na moje rozeznanie, to nie. Widzi pan, ja tu zabytki odkurzam, na pamięć znam każdy guzik od ludowej kapoty. Zresztą, co tu kraść? Te skorupy, co to je najmłodszy dzieciak Maćkowiaków na kartoflisku wykopał? Phi! – Panna Violeta machnęła ręką lekceważąco. Zadzwoniły bransoletki na przegubach. – Kierowniczka przyjedzie, ją pytajcie. Ale i tak na moje wyjdzie.

– A szopka? – zapytał Buraś.

– Szczęśliwie szopka nietknięta. I działa. Sprawdziłam.

Ruchoma szopka była najpopularniejszym eksponatem w muzeum. Zjeżdżały do niej wycieczki z całej Polski. Nie żeby była szczególnie cenna – mechanizm pochodził zaledwie sprzed wojny – ale zawsze to atrakcja, kiedy figurki szopki za pokręceniem korby obracają się i krążą na wielkim stalowym dysku. Pastuszkowie podnoszą piszczałki do ust, opada żuraw do studni, bydłeta kiwają głowami, a Pan Jezus w żłóbku fika nóżkami. Na dodatek pozytywka wygrywa *Przybieżeli do Betlejem*.

Ruchoma szopka była w muzeum jedynym eksponatem, dla którego Violeta żywiła szczery podziw, toteż zaraz po włamaniu upewniła się, czy zabytek czasami nie doznał uszczerbku.

Sierżant Wyrwiłło, głośno tupiąc, ruszył schodami na piętro. Sprzątaczką podążyła za nim, podzwaniając sztuczną biżuterią.

Tymczasem młody posterunkowy opadł na kolana i niemal wzdychając nosem po posadzce, obejrzał każdy skrawek parkietu w są-

siedztwie drzwi. Podekscytowany, czuł się jak bohater sensacyjnych powieści, które czytywał chętnie podczas nudnych dyżurów policyjnych. Marzyła mu się kariera kryminologa, który z jednego włosa pozostawionego na miejscu przestępstwa potrafi wyczytać cały przebieg zbrodni.

Odchylił kotarę i wydał z siebie ciche, pełne satysfakcji sapnięcie. Na wypolerowanych do połysku deskach podłogi widniały paprochy pokruszonej kociej karmy. Najwyraźniej włamywacz wdepnął na podwórku w resztki kolacji Reksia i wniósł je do środka. Pośród rozsypanych okruszków widział zarys podeszwy. Jakby tego było mało – odcisk miał charakterystyczny, nietypowy wzór, z wizerunkiem czterolistnej koniczyny pośrodku.

Policjant naszkicował w notesie nieskomplikowany motyw, zrobił kilkanaście zdjęć, po czym usiadł na podwórku muzeum i wziął się do sporządzania notatki służbowej.

Z wysokości muru gapił się na niego kot przybłęda – ulubieniec panny Violety. Biały, z rudym kleksem na jednym oku – umaszczony dokładnie tak jak Reksio z telewizyjnej kreskówki. Buraś uśmiechnął się pod mizernym wąsem. Przynajmniej zagadka dziwnego kociego imienia wyjaśniona.

Karol schodził stromą uliczką w kierunku przeprawy na rzece. Tylko tędy można było dotrzeć do lasu po drugiej stronie. Wyszedł zza węgła i nagle zobaczył, że poręcze drewnianego mostu w dole obsiedli miejscowi chłopcy.

Uuups!

Chętnie by zawrócił, ale było za późno – dostrzeżono go. Rozmowy umilkły. Pięć krótko ostrzyżonych głów zwróciło się w stronę nadchodzącego warszawiaka. Przyglądali mu się w milczeniu.

Najwyższy z chłopców splunął pod nogi, zeskoczył z poręczy i zagroził drogę „miastowemu”. Był to opalony blondyn, dobrze zbudowany, z perkatym nosem i pryszczatym obliczem. Na oko piętnastoletni – najstarszy z całej piątki.

– A dokąd to, lamusie? – zapytał. Prawą ręką kręcił młynka pękiem kluczy na tasiemce, tak jakby to była egzotyczna broń.

Karolowi dobrze znane były takie sytuacje. Ogarnęło go nagłe zniechęcenie.

– Do lasu – odpowiedział i wzruszył ramionami z udawaną non-szalancją.

– A pozwolenie jest? – nie ustępował blondyn.

– Jaaasne. Pozwolenie na wstęp do lasu, razem z licencją na puszczenie bąków – mruknął Karol pośepnie.

Chłopcy zarechotali.

– Ja pierdziu... A to gnojek wyszczekany. Zamknij dziób rudemu, Mietek!

Mietka zirytował żart warszawiaka. Postąpił naprzód i wykonał gest, jakby otwartą dłońią zamierzał uderzyć Karola w ucho.

W tym momencie nie wiadomo skąd pojawił się mały czarny piesek. Niczym pocisk wyprysnął z krzaków i z piskliwym jazgotem rzucił się na napastnika. Szczyrzył małe, ostre ząbki i groźnie nimi kłapał. Zaskoczony blondyn odskoczył w tył. Chroniąc gołe łydki, kopał powietrze i cofał się w kierunku kolegów, ubawionych tą sceną.

– Pójdiesz, cholero! – wrzeszczał. – Żeby cię obesrrrało, pokrako!

Kumple blondyna, rozbawieni widokiem, nie zamierzali interweniować. Jeden z nich, nazywany Siarą, z radości klepał się po udach.

– Ale się kundel na Mietka podjarał... jak szczyrbaty na suchary.

Karol nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Szybko przeszedł przez most i niemal biegiem ruszył w kierunku lasu. Nie oglądał się, udając chojraka, ale kolana aż zmiękły mu z emocji.

Tymczasem dzielny piesek osłaniał odwrót chłopca, jazgotliwie szczekając. Raz i drugi kłapnął krzywymi zębami tuż obok opalonej nogi „szefa”. Wreszcie uznał, że pojedynek jest zakończony, i galopem dogonił Karola.

Dalej szli już razem, jak para nierozłącznych przyjaciół. Piesek merdał krótkim ogonem. Goniły ich śmiechy chłopców i grube prze-kleństwa blondyna.

Kiedy weszli między drzewa i most zniknął Karolowi z oczu, chłopiec kucnął i podrapał psa za uszami.

– Dziękuję – powiedział. – Prawdziwy z ciebie bohater.

Z reklamówki wyjął kanapkę. Swojemu obrońcy oddał wędlinę, a sam zadowolił się chlebem.

– Pierwsza runda za nami. A zanosilo się na nokaut.

Ruszyli dalej. Na rozdrożu Karol podciągnął rękaw białej koszuli i odsłonił przegub. Tkwił na nim chromowany gadżet wielkości zegarka. Po dotknięciu ekranu wyświetliła się miniaturowa mapa, z zaznaczoną na niej przebytą trasą w kształcie fosforyzującej wstążeczki. GPS sygnalizował, że zbliżają się do małego leśnego jeziora. O jego istnieniu Karol usłyszał wczoraj od ciotki Wisi. To tam właśnie zmierzał.

Pies zadarł łeppek. Mokry nos poruszał się nieustannie. Jemu żadne elektroniczne nawigacje nie były potrzebne. W promieniu pięciu kilometrów znał każdy krzak i kamień.

Dotarli do celu. Jezioro otaczał pierścień jaskrawozielonego mchu. Brzeg był grząski. Spod kożucha rzęsy wodnej tu i ówdzie prześwitywała smolistoczarna głębia. Nigdzie żywego ducha.

Na wpół zrujnowany pomost stęknął ostrzegawczo pod ciężarem chłopca i psa. Leżała na nim prymitywna wędka z leszczynowego kija i zardzewiała puszka po robakach. Czerwony spławik podskakiwał na powierzchni wody, ale wędkarza nie było widać.

Pies obwąchał pomost i leżące na nim przedmioty, po czym, z nosem przy ziemi, zanurkował w zarośla. Karol podążył za nim, przeklinając w duchu krzaki jeżyn, które chwyciły go za ubranie. Owoce były jeszcze zielone i cierpkie – lipiec zaledwie się zaczął.

– Eeej, pies... Nie tak się umawialiśmy – zaprotestował Karol, ale kundelek parł naprzód i szczekaniem ponaglał chłopca.

Las zaczął rzednąć i z cienia wyszli na otwartą przestrzeń. Przed nimi rozciągała się wielka łąka, porośnięta fioletowymi łubinami. Trzeszczały świerszcze. Kosmaty trzmiel buczał jak helikopter, polatując nad kwiatami. Odurzający zapach napływał falami znad rozgrzanej słońcem łąki.

Rivendell... kraina elfów – pomyślał Karol.

W tej rajskiej scenerii tylko czarna myśliwska ambona na skraju lasu nie pasowała do otoczenia. Drewniana budowla miała kształt wiejskiego wychodka na wysokich, pajęczych nogach. Małe okienko, nie większe niż kartka szkolnego zeszytu, wychodziło na pole łubinu. Drzwi od strony lasu, do których prowadziła wyszczerbiona wysoka drabina, były zamknięte.

Pies potruchtał w stronę ambony. Stał u podnóża, obsikał podporę i rozszczekał się na dobre. Ujadał piskliwym głosem, wspinał się na tylne łapki, przednie opierając na drewnianej belce.

Karol chętnie wdrapałby się na szczyt i przyjrzał okolicy. Nic z tego – dolne szczeble drabiny ktoś wyrwał „z mięsem” – w tych miejscach sterczały tylko żółte drzazgi. Najbliższe poprzeczki zaczynały się wysoko nad głową Karola. Na nic nie zdało się podskakiwanie – trzeba by dwóch takich chłopców, aby sięgnąć do szczebla.

Pies nadal jazgotał. Z trudem dał się odciągnąć od ambony.

Ruszyli dalej. Obeszli łąkę skrajem i znaleźli wydeptany leśny dukt po przeciwnej stronie fioletowego morza łubinu.

Wchodząc ponownie w las, Karol obejrzał się i podniósł wzrok na ambonę.

Przez jedno krótkie mgnienie zobaczył błysk w malutkim okienku na szczycie – jakby w okruczu lusterka odbił się blask słoneczny. Chłopiec poczuł się nieswojo i z ulgą wszedł między gęste świerki.

W drodze do stadniny Bella nadłożyła drogi, żeby ominąć rynek i nie natknąć się na matkę. Szła brzegiem rzeki i długą wierzbową witką okładała pokrzywy na poboczu ścieżki. Na moment w jej głowie zagościła nieprzyjemna myśl, że może zbyt szorstko potraktowała kuzyna, ale odepchnęła ją czym prędzej.

– Ciemięga... Pokurcz... – mamrotała pod nosem. – Dopiero byłby październik, gdybym z takim dziwakiem pojawiła się w stadninie. Damian śmiechem by mnie zabił. A Wika i bliźniaki mieliby radochę przez tydzień. Niedoczekanie!

Myśl o zabójczo przystojnym Damianie wyparła z jej głowy wszelkie skrupuły. Już po chwili Bella zapomniała o powierzonym jej opiece chłopcu. Przyspieszyła kroku, rzuciła w krzaki wierzbową witkę i bez reszty pochłonęło ją szukanie rymu do słowa „Damian”, co okazało się nie lada wyzwaniem.

Minęła zakręt rzeki i z daleka rozpoznała paczkę Mietka Drzazgi, znanego w mieście jak zły szeląg. Siedzący na moście chłopcy wyrazili podziw dla jej zgrabnej figury, chrząkając po świńsku i gwizdząc.

Pryszczaty Mietek za plecami dziewczyny pstryknął komórką zdjęcie.

– Patrz, jakie bufory! Tyłek na sprężynach – skomentował teatralnym szeptem. Kumple zarechotali.

– Drzazga, ty się doigrasz – warknęła Bella. – Wszystko będzie u ojca.

Na wzmiankę o ojcu Mietek sposepniał i nagle opuściła go ochota do żartów.

Minąwszy chłopaków na moście, Bella skręciła na piaszczystą drogę wzdłuż lasu. Pięć minut później pchnęła drewnianą furtkę z napisem „Stadnina Tabun”.

Dopiero teraz – nie wiedząc o tym – dziewczyna zniknęła z pola widzenia Tuli, pochylonej nad okularem wszytkowidzącej lunety.

Stadnina była prawdziwym salonem Witkowic. Przed trzema laty do miasteczka przyjechało młode wrocławskie małżeństwo, Szurmakowie. Kupili kawał nieużytków pod lasem. Popegeerowską świetlicę przerobili na mieszkanie i niewielki pensjonat. Postawili stajnie, a niebawem pojawiły się konie – sześć klaczy, dwa ogiery i kucyk, zwany Groszkiem. Do bryczki Szurmakowie zaprzęgli niewielkiego, krępego huculka – Arnolda. A potem ogłosili, że nastoletni witkowiczanie mają bezpłatne jazdy, o ile odpracują je w stajniach.

Początkowo nikt się nie zgłosił – jazda konna wydawała się mieszkańcom miasteczka fanaberią. Ale kiedy do stajni zapisał się Damian Berdyszuk – w Tabunie zaroilo się od dziewczyn.

Bella była pierwsza. Szybko nauczyła się czyścić i karmić konie, a nawet widłami opróżniać boksy z końskiego nawozu. Z uporem uczyła się stępa i kłusa, a za jedyną nagrodę miała widok swojego ukochanego, zawsze obleganego przez inne dziewczyny. Niełatwo było zwrócić na siebie uwagę Damiana.

Dzisiaj nie było inaczej – chłopak stał na progu stajni w asyście Wiki, długonogiej instruktorki jazdy. Wysoki, barczysty, smagły. Długie do ramion włosy miał niedbale zebrane w kucyk na karku. Rozpięta koszula odsłaniała opalony, czekoladowy tors. Witkowicki Apollo był doskonale świadom, jakie wrażenie robi na dziewczynach.

– Belka, napoisz Arnolda i ściółkę wymienisz Groszkowi – rzuciła Wika na powitanie.

– Kurde... Najgorsza fucha jak zwykle dla mnie – naburmuszyła się Bella.

– Nie mam czasu na ceregiele. Zaraz zaczynają się jazdy. I nowi przyjechali... *Sorry*. – Wika odrobinę spuściła z tonu.

– Znowu goście? Nie nadążymy z robotą.

– Spoko, damy radę. O, już są... – Wika ruchem głowy wskazała dwóch mężczyzn w drzwiach pensjonatu. – W nocy przyjechali. Z Wrocławia.

Przybysze wyszli na dziedziniec. Zajęci byli cichą rozmową. Obaj pod czterdziestkę, ubrani z wymuskaną elegancją, która dziwnie nie pasowała do stanowczych, surowych rysów ich twarzy. Dwie głowy pochylały się nad ekranem smartfona w rękę młodszego z mężczyzn, o czaszce gładkiej jak wielkanocna pisanka. Drugi dla odmiany miał bujną, szpakowatą czuprynę.

Bella natychmiast nazwała ich w myślach „Łysym” i „Szopenem”.

Damian przyglądał się gościom z niechętnym grymasem.

– Na oko... kapeluchy – orzekł.

To pogardliwe miano było w stadninie przeznaczone dla kompletnych nowicjuszy, którzy nie potrafią nawet dosiąść konia. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej takim kapeluchem był Damian, ale dziś, kiedy nauczył się jako tako galopować, hojnie obdarzał innych tym epitetem.

– Nic podobnego – zaprotestowała Wika. – Bliźniaki siodłają dla nich Strzałkę i Mefista.

– Żartujesz!? Mefisto ich sponiewiera – zdziwił się Damian.

– Właśnie, kurde – zawtórowała mu Bella.

– Nie sądzę. Byłam z nimi w stajni. Sami wybrali konie. Znają się na rzeczy.

Cała trójka umilkła, bo „Łysy” podniósł wzrok znad smartfona i obrzucił młodych ludzi krótkim, taksującym spojrzeniem.

Wika przywołała na twarz profesjonalny uśmiech i ruszyła w stronę gości, aby zaoferować pomoc.

Ledwie Bella została sam na sam z Damianem, cała pewność siebie odpłynęła jej w pięty, a na twarz wypłynął ciemny rumieniec. Przez chwilę bezskutecznie szukała w głowie tematu do rozmowy, po czym postanowiła uciec się do wypróbowanej sztuczki – pochlebstwa. To zawsze działa.

– Czy to ray-bany? – zapytała, wskazując nowe okulary słoneczne na nosie Damiana. – Klasa!

Od razu rozpoznała w nich podróbki za dychę z bazarku, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Eee... nie... znaczy... Tak – odpowiedział chłopak i szybko zmienił temat: – Może ci pomóc? Ja już skończyłem dyżur.

Bella w odpowiedzi chętnie odtańczyłaby tryumfalny taniec Pa-puasów, ale rozsądnie przestała na:

– Suuuper, kurde. Dzięki!

Po czym, kołysząc zalotnie biodrami, ruszyła do stajni.

Karol był w rozterce. Zerkał na psa i marszczył brwi pod rudą grzywką.

Całe przedpołudnie spędzili razem i zbliżali się do domu ciotki, a pies ani myślał odstać swojego nowego kumpla.

Truchtał u jego boku, raz po raz podnosząc lisią mordkę i wydając krótkie, zadowolone szczeknięcie.

Przed furtką zatrzymali się. Chłopak kucnął i spojrzał w mokre, wylupiaste oczy.

– Ej, pies... – powiedział. – Pora do domu, nie? Bo... wiesz, ja jestem nietutejszy. Nie mogę cię zaprosić do środka.

Kundel bezceremonialnie polizał Karola po twarzy.

– Ja też cię lubię – rozkleił się chłopiec. – Ale mam groźną ciotkę. A ona bardzo jest przywiązana do swoich wypucowanych parkietów.

Piesek udał, że nie słyszy, i zajął się drapaniem tylną nogą za uchem.

– Eeej! Do ciebie mówię... Musisz wracać do domu, rozumiemy się? – kontynuował chłopiec bez przekonania. – Czyj ty jesteś właściwie? Bez obroży... bez numerka...

Ale pies ani myślał odchodzić. Wstał, trącił nosem furtkę i obejrzał się na Karola, jakby ponaglając go do wejścia.

Chłopak przez chwilę wahał się, po czym skapitulował:

– Okej, okej. Możemy zaryzykować. Tylko pamiętaj, że cię ostrzegałem. Ciotka jest twarda jak zelówka. A Belka nie lepsza. Na żadne merdanie ogonem nie dadzą się nabrać.

Zobaczył ją w kolejce do kasy. Zresztą... trudno byłoby przegapić. Bojówki, martensy, kolczyki w brwiach i T-shirt w trupie czaszki – rzucały się w oczy. Na tle letnich sukienek kobiet tłoczących się w sklepie wyglądała jak czarna mucha na śmietankowym torcie.

Karol wyczuł, że dziewczyna jest tu znana – gapiono się na nią, owszem, ale bez wrogości. Raczej z respektem.

W koszyku miała twaróg i kostkę masła, lecz kiedy podeszła do kasy, ekspedientka zapytała:

– Gazetka dla panny Tuli przyszła. Dać?

– Poproszę.

Ku zdumieniu Karola kasjerka dorzuciła do sprawunków dziewczyny nowy numer „IMAG-a” – tygodnika dla komputerowych ma-

niaków. To nie była żadna z tych gazet, które zwykle widziało się na półkach z prasą w małomiasteczkowych sklepikach. Karol czytywał „IMAG-a” regularnie, ale po tej pankówie spodziewałby się raczej, że prenumeruje „HardRockera”.

– I proszę pozdrowić pana burmistrza – dorzuciła ekspedientka. Dziewczyna bez słowa skinęła głową.

Karol gapił się w jej kark tak intensywnie, że ta, jakby poczuła na sobie palące spojrzenie, potrząsnęła czarnymi włosami i kątem oka zerknęła w dół, na obcego rudzielca.

Chłopak szybko zapłacił za worek psiej karmy.

Wyszli ze sklepu niemal jednocześnie. Ona – wysoka i silna, on – drobny i chudy jak pogrzebacz.

Nieoczekiwanie dziewczyna kucnęła obok psa, czekającego na Karola za progiem.

– *Ça va, Hercule?* – powiedziała i podrapała kundla za uszami. Pies zamerdał ogonem, uradowany.

Chłopiec odczuł głębokie rozczarowanie. Właśnie teraz, kiedy odważył się stawić czoło ciotce, kiedy postanowił zatrzymać bezpańskiego przybłędę – okazuje się, że pies jest znany tej obcej dziewczynie. Zapewne ma gdzieś dom, miskę i posłanie.

Ogarnął go nagły gniew na pankówę. Postanowił, że nie odda psa bez walki.

Zebrał się na odwagę i chrząknął:

– Ekheem...

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na niego. Parę piwnych oczu obrysowała czarną kredką, przez co sprawiała ekscentryczne i złowrogie wrażenie.

– To twój pies? – zapytał Karol lekko łamiącym się głosem.

Wyprostowała się i różnica wzrostu stała się boleśnie oczywista. Przez chwilę nie odpowiadała, świdrując rudzielca wzrokiem. Nie uszła jej uwagi duża torba psiej karmy, którą trzymał w ręku.

– Bo co? – zapytała niezbyt uprzejmie.

– Szukam właściciela – mruknął Karol gniewnie.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie.

– On nie ma właściciela. Żywi się tym, co wysepłi u rzeźnika. To powsinoga, nikomu nie daje się oswoić.

Karol poczuł, jak wielki kamień spada mu z serca. Zdziwił się niemal, że nie słyszał łoskotu.

– Ale... ale ty go nazwałaś... jakoś tak... w obcym języku, jak mniemam?

Wyraz rozbawienia przemknął przez twarz dziewczyny.

– *Hercule*, jak Herkules Poirot – odpowiedziała, a widząc, że rudy nie rozumie, wyjaśniła: – Ten detektyw.

– Aha.

– Nie jarzysz? – westchnęła z pobłażaniem. – Pies jest cwany jak norka. Na dodatek bardzo czuły na punkcie swojej godności. Nie przepusz go byle Przysmakiem Lubuskim. No i ma niezawodny węch. Całkiem jak ten belgijski detektyw z kryminałów Agathy Christie... – widząc zakłopotaną minę rudzielca, dodała: – To ja go tak nazwałam. Poczytaj, chłopie, zrozumiesz.

Po chwili milczenia, jakby rozważała coś w myśli, wyciągnęła do niego silną dłoń z obgryzionymi paznokciami.

– Natalia Taran. A prościej: Tula.

– Taran Tula. Tarantula?

Gdyby Karol umiał czytać w myślach, dowiedziałby się, że na dziewczynie zrobiła wrażenie szybkość, z jaką rozszyfrował rebus w jej nazwisku. Innym zajmowało to więcej czasu.

– Karol Klops – przedstawił się. Jak zwykle imię wymówił głośno, a nazwisko cicho i niewyraźnie.

Pięgowata dłoń chłopca niemal zatrzeszczała w silnym uścisku dziewczyny.